

Czasopismo Społeczności Lokalnej Gminy Mirsk i okolic



Wyd. październik 2009, nr 12 Cena: 1,90 zł Nakład: 500 egz. ISSN: 1899-8313



Wielka Łąka Izerska

fot. Miłoś Kirchner

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju
Pogórza i Gór Izerskich "Zakwisię"

www.zakwisię.pl

Puppet Clinic Welcome To, czyli Witajcie w Klinice Lalek

Tak, jestem marzycielką. Doskonale pamiętam, jak siedząc przy kawie z serdeczną przyjaciółką, marzyliśmy o projekcie lalkarskim. O tym, jakie zajęcia można by przeprowadzić, kogo zaprosić, kto by przyjechał... Droga od tych wizji do realizacji projektu okazała się zaskakująco krótka...

fot. Magda Ptak



Performance w związku otwarciem przystanku autobusowego w Wolimierzu w stylu budownictwa przysłupowego.

Niebawem po tej rozmowie poznałam Klinikę Lalek. Otwartą i ciepłą Jemiołkę, pomyslowego Wiktora, ich dzieci oraz wielu przyjaciół Stacji. Pomysł przyjęli bez wahania i tak to się zaczęło... Najpierw zdecydowaliśmy się ubiegać o do-

18 września br. zaczęli zjeżdżać goście. Młodzież z Armenii, Ukrainy, Bułgarii i przyjaciele z Polski. Przez kolejnych osiem dni uczestniczyliśmy w warsztatach. Pracowaliśmy nad własnym ciałem, nad ruchem, siłą przekazu, pokonywaliśmy własne lęki i zahamowania, otwieraliśmy się na innych i samych siebie. Po czym przyszedł czas na lalki, maski i wiele elementów scenografii, których mogliśmy nie tylko dotknąć, ale własnoręcznie stworzyć, spróbować swoich sił i zagrać. Jedni wybrali potężne figury Fausta, czy syreny Lorelai, inni zabawnego Zbója Ondraszka, jeszcze inni spróbowali swych sił w pracy z maską i w chodzeniu na szcudłach. Jeszcze inna grupa pracowała nad aranżacją muzyczną. A wieczorami, wszyscy razem, zbieraliśmy się, by ucztować. Niewątpliwie do najprzyjemniejszych należały tzw. wieczory narodowe, przygotowywane jeszcze przed projektem w rodzinnych stronach. W cztery kolejne wieczory i noce każda z narodowych grup przejmowała „pałeczkę” i stawała się gospodarzem. Wprowadzała nas w świat swoich zwyczajów, opowieści, historii, tańców, muzyki i smaków. Były to niezwykle podróże, które przenosiły nas daleko w orientalne kraje. Tych wycieczek na pewno żaden z nas nie zapomni.



Występ Teatru Ruchu na mirskim rynku.

tację z programu „Młodzież w działaniu”, potem powstał tekst, jakaś forma i ramy tego przedsięwzięcia. Niebawem pojawili się też ludzie, którzy chyba upili się naszym entuzjazmem i pomysłami i razem zatańczyliśmy to tango.

Jak wszystko, co dobre, projekt także, zbliżał się ku końcowi, ku wielkiemu końcowi. Chcieliśmy, by to wydarzenie także pozostało w pamięci innych. Chcieliśmy się podzielić swą radością, pomysłami, chcieliśmy byście wiedzieli, że chcieć to znaczy móc. Pomimo wielu przeciwności losu, cała rozentuzjasmowana grupa młodych przyjaciół stanęła przed mieszkańcami Mirska i okolic, w sobotę w Rynku. Zaprezentowała to, co wspólnymi siłami udało się przez kilka dni warsztatów stworzyć. Osobiście, mam nadzieję, że tłumnie przybyłym widzom przedstawienie się podobało.

Proszę mi wybaczyć, ale jest to może jedyna okazja na publiczne podziękowania, a należą się one niektórym. Chciała-

bym podziękować wszystkim fantastycznym, młodym uczestnikom projektu za ich energię i pomysłowość, za wszystkie uśmiechy i czułe gesty. Ponadto wszystkim tym, którzy poprowadzili warsztaty, bez ich umiejętności i zaangażowania



Portret grupowy uczestników i prowadzących międzynarodowe warsztaty.



Bańki mydlane nad miastem.



Kolorowa parada wokół ratusza.

zapewne projekt miałby inne kształty. Nie mogę pominąć cudownych przyjaciół Stacji Wolimierz, którzy nam pomogli oraz wspierali dobrym słowem. Na końcu chciałabym podziękować Stacji, całej rodzinie: Jemiołce, Wiktorowi, Wiktorii i Wincentemu za zaufanie oraz za to, że ugościli nas wszystkich w swoim domu.

Magda Ptak

„Izery” w IZERACH, czyli wywiad z Prezesem Krzysztofem Kopalskim

Przedsiębiorstwo Budowlano -Usługowe „Izery” sp. z o. o. od kilku lat widoczne jest na mapie firm działających na terenie naszej gminy. Trudno jest przegapić nową siedzibę firmy usytuowaną przy drodze wylotowej do Świeradowa Zdroju. Poprzez ten wywiad chciałbym z naszymi czytelnikami „zajrzeć” do środka firmy, poznać zarówno jej problemy jak i sukcesy.

Bogusław Nowicki: Witam. Aby dostarczyć czytelnikom nieco uporządkowanej wiedzy, chciałbym na początku zapytać o historię powstania firmy.

Krzysztof Kopalski: Przedsiębiorstwo powstało 10.02.1987 r. Był to dzień podpisania aktu notarialnego inicjującego założenie spółki. Zarejestrowaliśmy się jako jedna z pierwszych spółek, bodajże piąta, z ograniczoną odpowiedzialnością, rozpoczynających działalność w dawnym województwie jeleniogórskim. Przecieraliśmy wtedy szlaki następnym. Rozpoczęliśmy od prowadzenia prac w wielu miejscowościach: Zgorzelcu, Lubawce, Świerdowie Zdr., Jeleniej Górze i Mirsku (remont wieży ratuszowej). Nabieraliśmy też doświadczenia realizując wiele tematów w różnych działach budownictwa: od remontów obiektów zabytkowych, budowę obiektów liniowych (sieci gazowe, wodociągowe wod.-kan.) po budowę od zera nowych budynków użytkowych i mieszkalnych. Przez wiele lat siedziba firmy mieściła się w Świeradowie Zdr., ale z czasem w związku z rozwojem firmy brakowało nam już po prostu miejsca. Ówczesny burmistrz Z. Szereniuk starał się znaleźć nam odpowiedni plac. Nie udało się to niestety. I tak oto od 3 lat funkcjonujemy w Mirsku, z czego zapewne cieszy się burmistrz tego miasta, gdyż tu odprowadzamy podatki. Mamy biura, sklep, plac i wiaty do przechowywania sprzętu. Lokalizacja jest świetna, przy głównej drodze, w pobliżu stacji benzynowej.

B.N: Które z Waszych przedsięwzięć można uznać za najtrudniejsze?

K.K: Trudno jest tak jednoznacznie stwierdzić, gdyż skala prac, ich specyfika jest nieporównywalna. Czasami jest to niewielki obiekt, ale wymagający wielkiej uwagi i zaangażowania. Dotyczy to zwłaszcza obiektów zabytkowych. Chyba jednak na pierwszym miejscu postawiłbym Dwór Czarne w Jeleniej Górze. Pierwszy etap prac remontowych z odkopywaniem piwnic, podbijaniem fundamentów, odtwarzaniem renesansowych drewnianych stropów, remontem średniowiecznego mostu itp. i stała współpraca z konserwatorem zabytków utkwił nam na długo w pamięci. Inna ciekawa inwestycja to udział w translokacji z Wigancic do Zgorzelca tzw. Domu Kołodzieja (Dom Łużycki) gdzie między

innymi wykonaliśmy ceglane sklepienia kolebkowe. Ważnym zadaniem, jeżeli chodzi o prace w obiektach zabytkowych, był remont secesyjnego pałacyku myśliwskiego „Marzenie” w Świeradowie Zdr. W zakres wykonywanych przez nas czynności wchodziła nawet wymiana drewnianych elementów konstrukcyjnych, renowacja drewnianych okładzin ściennych i wymiana tkanin dekoracyjnych.

Po realizacji remontu Książnicy Karkonoskiej o wartości ok. 12 mln złotych, żadne prace nie są nam straszne. Mieliliśmy tam do czynienia z szeroko zakrojonymi pracami remontowymi, pobijaniem fundamentów, budową trzech wind, budową nowego przeszklonego łącznika, itp. Warunki przeciwpożarowe, antywłamaniowe, kontrola dostępu do księgozbiorów to tylko niektóre



Siedziba firmy IZERY w Mirsku.

z problemów związane z bezpieczeństwem przebywających w bibliotece osób, które należało rozwiązać w trakcie budowy (projekty wykonawcze).

Inny stopień trudności niesie ze sobą budowa nowego osiedla mieszkaniowego. Począwszy od zakupu działki, wykonania projektu, poprzez uzyskanie pozwoleń na użytkowanie, aż po sprzedaż gotowych mieszkań. W tym miejscu warto wspomnieć o postawionych przez nas budynkach mieszkalnych w Jeleniej Górze przy ulicach Zielonej, Zaulek, Spółdzielczej, Złotniczej, Chrobrego, Małcużyńskiego oraz o remontach kapitalnych obiektów przeznaczonych na siedzibę Powiatowej Komendy Policji w Zgorzelcu czy Łużyckiego Oddziału Straży Granicznej w Jeleniej Górze.

Na pewno trudnym przedsięwzięciem są prace realizowane w obiektach współfinansowanych przez Unię Europejską. Trzeba „wyprodukować” niezliczone ilości

kilogramów papierów, bacząc przy tym na każdy przecinek, czy przysłowiową kropkę. Do tego dochodzą sprawozdania, aktualizacje, harmonogramy, wykazy zatrudnionych osób, opisy warunków pogodowych i wiele innych, których nie sposób tu wymienić... Poza tym dochodzi tłumaczenie na język angielski. Należy tu wykazać się totalną uwagą, aby nie pominąć jakiegos słowa czy akapitu.

Kolejne czekające nas wyzwanie to remont Teatru Animacji w Jeleniej Górze. Jest to obiekt współfinansowany ze środków unijnych. Niedawno otrzymaliśmy informację, że nasza oferta okazała się najkorzystniejsza i 16.10.2009 r. podpisujemy umowę na realizację tego zadania.

Stopień komplikacji prac będzie chyba większy niż w Książnicy Karkonoskiej. Będziemy wykonywać przebudowę sceny i sali widowiskowej. Wymienimy dach, wszystkie instalacje, w tym elektryczną, ogrzewanie podłogowe, klimatyzację, itp. Z tym problemem też będziemy musieli sobie poradzić. Do tego dochodzi koordynacja robót z zespołem wykonującym prace konserwatorskie.

B.N: Dużo mówi i pisze się o kryzysie, również w branży budowlanej. Czy firma odczuła go „na własnej skórze”? Jak sobie radzicie w tak trudnych czasach?

K.K: Odczuliśmy go w branży deweloperskiej. Spadło zainteresowanie kupnem mieszkań od końca ubiegłego roku do majaczerwca roku bieżącego. Spowodowane to było ograniczeniem przez banki dostępu do kredytów hipotecznych. To z kolei wpłynęło na spadek cen mieszkań. Teraz sytuacja się ustabilizowała. Powoli, ale systematycznie sprzedajemy kolejne mieszkania w budynkach postawionych w Jeleniej Górze. Liczyliśmy na większe zainteresowanie mieszkaniami w Mroczkowicach w związku z działalnością Kolei Gondolowej, ale widocznie ta lokalizacja wymaga dotarcia do odpowiedniego klienta. Sposobem na kryzys jest dywersyfikacja naszych działań. Nie koncentrujemy się wyłącznie na deweloperstwie, ale uczestniczymy w przetargach na wykonanie lub remont obiektów przeznaczonych na potrzeby kultury, sportu, turystyki, itp. I wiele z nich wygrywamy. Zwracają się do nas prywatni inwestorzy, ale w tym wypadku z doboorem inwestora staramy się być ostrożni. Instytucjonalni inwestorzy są pewniejsi. Może zysk wtedy jest mniejszy, ale bardziej pewny. Inwestor prywatny często wspiera się kredytem bankowym. Może się zdarzyć taka sytuacja, że nie otrzyma kolejnej transzy i nam po prostu nie będzie miał z czego zapłacić.

W realizowanych kontraktach staramy się występować wyłącznie jako generalny wykonawca. Zawsze na czas wywiązujemy się z płatności dla naszych dostawców i podwykonawców. W innych firmach bywa tak, że ryzyko niewywiązania się inwestora (płatności) z umowy przenoszone jest właśnie na podwykonawców lub dostawców.

Jeżeli chodzi o rynek przetargów publicznych to też można odczuć wyraźne zmniejszenie się ich ilości. Ceny kosmicznie się obniżyły. Pojawiło się wiele firm oferujących bardzo niskie ceny. W przetargu o halę sportową w Mirsku brało udział 10 przedsiębiorstw, gdzie do niedawna było ich 3-4.

B.N: Firma nie działa w próżni społecznej. Czy macie jakieś oczekiwania wobec samorządu?

K.K: Zawsze jest lepiej, jeżeli współpraca nie układa się tylko na polu biznesowym. Samorząd nie ma obowiązku wspierania przedsiębiorstw, a społeczna odpowiedzialność biznesu skłania nas do pomocy zarówno panu burmistrzowi jak i tutejszej parafii, czy innym organizacjom społecznym, oczywiście w miarę naszych skromnych możliwości.

Od samorządu oczekiwaliśmy aby podatki nie były wygórowane, gdyż to nie sprzyja rozwojowi przedsiębiorstwa, zwłaszcza w tym trudnym czasie. Rocznie odprowadzamy do budżetu gminy ok. 14 000,00 zł. Nigdy nie występowaliśmy o umorzenie podatku. Ponadto zatrudniamy

36 osób z gminy Mirsk, co stanowi połowę naszej załogi. To chyba nie mało.

Koszty utrzymania firmy są duże. Trzeba ciągle coś modernizować, ulepszać, wymieniać sprzęt. Ponadto w działalności potrzebne są środki własne na rozpoczęcie nowych inwestycji. Nawet jeżeli korzysta się z kredytu bankowego, to trzeba mieć przynajmniej 20% środków własnych. Przy wartości robót rzędu kilkunastu milionów złotych trzeba zabezpieczyć kilka milionów środków własnych.

B.N: Dowiedziałem się, że firma otrzymała prestiżową nagrodę Gazetę Biznesu przyznaną przez Puls Biznesu.

K.K: O nagrodzie dowiedziałem się po otwarciu poczty elektronicznej. Początkowo pomyślałem, że to jeden z wielu płatnych chwytów reklamowych. Za 10 000,00 zł można sobie „kupić” jakiś certyfikat, czy nagrodę. Nie kupujemy nagród. Nas takie oferty nie interesują. Nagroda ma wtedy jakąś wartość, jeżeli jest uczciwie wypracowana.

A więc odpowiedziałem na maila i otrzymałem potwierdzenie, że zakwalifikowaliśmy się do grona najlepszych. Dokonała tego firma Coface Poland po analizie naszej sytuacji na przestrzeni trzech ostatnich lat. Brano pod uwagę zysk, obroty, zatrudnienie, wiarygodność kredytową i etykę prowadzenia firmy. Działo się to zupełnie poza naszymi plecami. Nic o tym nie wiedzieliśmy, aż do momentu otrzymania informacji o przyznaniu nagrody. To naprawdę duża

przyjemność być nagrodzonym, nie dzięki specjalnym zabiegom, ale uczciwie, według z góry określonych kryteriów.

W podobny sposób, trochę przypadkiem, przeglądając Nowiny Jeleniogórskie, przeczytałem o przyznaniu przez architektów w trakcie Karkonoskich Spotkań Architektów KASA 2008 firmie IZERY nagrody Mistera za realizację osiedla na ul. Złotniczej w Jeleniej Górze.

B.N: A teraz mam do Pana pytanie trochę osobiste. Jak radzi sobie ze stresem prezes takiej firmy?

K.K: Trochę mnie Pan zaskoczył, ale odpowiem. Mam dość duży ogród, który staram się sam pielęgnować. Jeżeli mi czas pozwala to, zwłaszcza w okresie letnim, spędzam w nim 1-2 godz. dziennie. W ten sposób się wyciszam. Dużych emocji nam nie brakuje. Przygotowanie się do przetargu, ustalenie strategii, a później ta niepewność co do rentowności przedsięwzięcia w tak niestabilnych czasach...

Czasem nerwy są mocno napięte, ale nie daję tego po sobie poznać. Być może jakiś uszczerbek na zdrowiu pozostaje... Dbam również o dobrą atmosferę w pracy. Szanuję ludzi i chciałbym aby również szanowali się wzajemnie. Bez dobrych relacji w załozdzie nie da się zbudować dobrej firmy.

Wywiad z Panem Krzysztofem Kopalskim
Prezesem Przedsiębiorstwa Usługowo-
Budowlanego IZERY przeprowadził:
Bogusław Nowicki

Góry i Pogórze Izerskie w oczach turystów

W ostatni weekend września w Schronisku „Halny” w Kamieniu odbył się plener fotograficzny. Na zaproszenie Pawła Jakubowskiego, pomysłodawcy spotkania i Andrzeja Woźniaka przybyli pasjonaci fotografowania z całej Polski. Znajdą się ze strony internetowej plfoto.com, gdzie umieszczają swoje prace. Wśród nich był Zbyszek Makulski. Wraz z żoną pieszo i na rowerach przemierzali naszą okolicę. Oczarowani jej walorami, udzielili nam krótkiego wywiadu:

Magiczne miejsce. Wschodnia Ściana Polski. Dzięki wspaniałej przyrodzie, drewnianej architekturze i gościnnym ludziom. A w Izerach... Wzgórze w Grudzy, na którym stoi ruina wiatraka. Panorama okolicy zaparła im dech w piersiach. Urok tego miejsca zdecydował o ponownej podróży w te strony.

Niezapomniane smaki. Pierwszy kontakt z Chatką Górzystów: na progu schroniska unosił się cudowny zapach, jak się później okazało „izerskiego” lecz pakownego z ogromnego gara do słoików przez gospodynię Wiesię. Co prawda potrawa była nie w pełni gotowa, ale dane im było spróbować owego specjału. To był zaledwie niewielki przedsmak dania głównego, czyli opowieści właścicielki

schroniska o historii miejsca i ludziach, którzy niegdyś zamieszkiwali Halę Izerską. Przybysze z Górnego Śląska zachwyceni są „Chatką”, zresztą, tak jak wszyscy, którzy choć raz przekroczą jej gościnne progi!

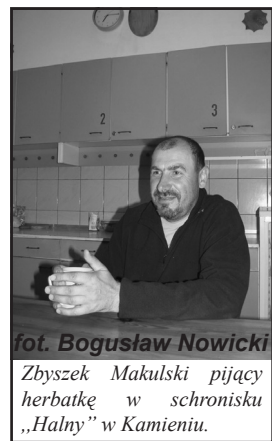
Najzabawniejsza sytuacja na turystycznym szlaku. Miała miejsce nie tak dawno, co prawda nie wydarzyła się na naszym terenie, ale warta jest odnotowania. Płynąc kajakami po jednej z mazurskich rzek, ujrzeni w pewnym momencie na jej środku stojącego po pas w wodzie mężczyznę z ogromnym bukietem w rękach. Sytuacja miała charakter mrożącej krew w żyłach, bo aura nie sprzyjała nawet wyjściu z domu, a co dopiero moczeniu się w przeraźliwie zimnym nurcie

rzeki. I co się okazało. Ów szaleniec od rana oczekiwał ważnych znajomych, jakowyś bankowiec ze stolicy. Mieli przybyć siedmioma kajakami. Trzykrotnie wskakiwał do wody na ich powitanie.

Zbyszek i jego znajomi płynęli również siedmioma kajakami, stąd to nieoczekiwane powitanie.

Zbyszek z Basią mieszkają w Dąbrowie Górniczej, pracują zawodowo. Każdą wolną chwilę spędzają aktywnie, a to wędrując po górach, a to jeżdżąc rowerami, czy też pływając kajakami. Swoimi turystycznymi zainteresowaniami zarazili najbliższych i znajomych. Ponadto Zbyszek oddaje się pasji fotografowania. Jego prace(nick: terrorist) można obejrzeć na stronie plfoto.com.

(red.)



fot. Bogusław Nowicki
Zbyszek Makulski pijący herbatkę w schronisku „Halny” w Kamieniu.

Zielona konferencja

Czym są media w dzisiejszych czasach? Mówi się, że stanowią czwartą władzę. Zdaniem innych, zwłaszcza po wykrytych przez dziennikarzy śledczych aferach, że jest pierwszą. Jak w wielu uproszczonych stwierdzeniach, tak i w tym jest sporo przesady. Jednak siła oddziaływania wolnego słowa może mieć wielką moc. Dowodem na to są procesy wytaczane dysydentom w krajach rządzących przez totalitarne reżimy. A jak jest u nas?



fol. Bogusław Nowicki

Andrzej Ploch witający przybyłych na konferencję gości.

Przyjrzeniu się kondycji „górskiej” prasy miała służyć transgraniczna polsko-czeska konferencja, na którą i my, czyli Izery, zostaliśmy zaproszeni. Silną grupą w składzie: szef „Zakwisia”- Andrzej Woźniak, Jola Szczepańczyk, Bartek Kuświk oraz autor artykułu i redaktor naczelny w jednej osobie. Tak więc stawiliśmy się w dniu 01.10.2009 r. punktualnie o godzinie 10.00 w jeszcze pachnącej remontem Książnicy Karkonoskiej w Jeleniej Górze. Już przy wejściu przywitał nas uśmiechem prowadzący konferencję Andrzej Ploch, wydawca miesięcznika „Karkonosze”. Po odebraniu potężnej porcji różnorodnych materiałów, udaliśmy się na przegląd wydawanych po polskiej i czeskiej stronie czasopism, folderów, map i wielu tym podobnych wydawnictw. Na przydzielonym stoliku wyłożyliśmy również nasze „Izery”. Powiem nieskromnie, po niedługim czasie zniknęły wszystkie egzemplarze. Musieliśmy złożyć solidne przyrzeczenie z-cy dyrektora biblioteki, że co miesiąc będziemy odsyłać dwa numery oraz udostępniać pliki, również w wersji elektronicznej. Zainteresował się naszym pismem współorganizator konferencji i dyrektor biblioteki- poseł Andrzej Zawila. Przy okazji przeglądania czasopism, wymieniliśmy zdania na temat zawsze aktualny wśród ludzi gór, czyli rozwoju turystyki po obu stronach granicy i jej wspólnej promocji w Polsce i Czechach.

Czas było już wejść na salę konferencyjną. Słowo wstępne zagaił Andrzej Ploch, a po nim głos zabrał jego czeski

kolega, redaktor czasopisma „Krkonoše i Jizerské Hory” - Jiří Dvořák. Po nich wystąpił dyrektor Książnicy Karkonoskiej, współorganizator i zarazem gospodarz obiektu - poseł Marcin Zawila. Witając gości, przedstawił region Karkonoszy jako obszar o dużym potencjale tak gospodarczym, jak i turystycznym. Podkreślił, że po otwarciu granic pojawiły się nowe możliwości współpracy. Nie sposób wymienić wszystkich mówców, bo nie to było najważniejsze. Istotą tej konferencji było spotkanie i wymiana poglądów na wiele tematów: od ekologii i ochrony przyrody, poprzez organizację ruchu turystycznego do dzielenia się problemami tak przyziemnymi, jak pieniądze na prowadzenie i wydawanie naszych pism. Zarówno po

stronie czeskiej jak i polskiej, żadne z czasopism nie domyka się finansowo. Wyjątek stanowią „Sudeoty”, które do finansowej równowagi doszły po ośmiu latach. To znaczy, że przed nami jeszcze siedem lat chudych. Takim dysputom sprzyjał obficie zastawiony stół szwedzki, który w przerwie obiegło międzynarodowe towarzystwo. Po przerwie organizator proponował poprowadzenie drugiego bloku konferencji w formie warsztatów dziennikarskich, tak, by każdy z uczestników mógł zaprezentować siebie i media, z którymi jest związany. W tym bloku wystąpili prawie wszyscy przedstawiciele mediów. Prezentacje prowadzone były naprzemiennie: raz przedstawiciel strony polskiej, raz czeskiej. W imieniu redakcji przedstawiłem nasze „Izery”. Okazało się, że już nie istnieje czeski odpowiednik naszego pisma, który po kilku latach działalności, został przygarnięty przez „Krkonoše”. Dzięki wyposażeniu sali w nowoczesny sprzęt multimedialny wystą-

pieniom towarzyszyły zazwyczaj pokazy własnych stron internetowych. Wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku: bez pasji, determinacji i wewnętrznej potrzeby poprawiania naszego karkonosko-izerskiego kawałka świata, nic by się nie udało. W kilku przypadkach taka walka o wolność słowa okupiona była dotkliwymi ranami. Mimo tego, a może dzięki temu, taka aktywność doprowadziła to do skutków wręcz odwrotnych, czyli nabycia „zespołu odporności” na działania różnych władz. Na początku byliśmy trochę skrupowani tym, że prawie nikogo nie znaliśmy, ale już po chwili świetnie poczuliśmy się w tym gronie. Język nie stanowił wielkiej bariery. Choć chętnych do zabrania głosu było jeszcze wielu, to niestety po przedłużeniu tego bloku o pół godziny, prowadzący ostatecznie zamknął konferencję, zapraszając uczestników do kularów na pożegnalne spotkanie „przy bufecie”. O godz. 15:00, z wielkim niedosytem na dokończenie „niedokończonych rozmów”, zakończono spotkanie. Mamy nadzieję, że ciąg dalszy nastąpi i spotkamy się niebawem. Może po czeskiej stronie gór?

Korzystając z okazji dziękujemy Panu Andrzejowi Plochowi z „Karkonoszy” oraz wszystkim organizatorom za zaproszenie naszej redakcji.



fol. Bogusław Nowicki

Poseł Marcin Zawila, dyrektor Książnicy Karkonoskiej w towarzystwie członków redakcji czasopisma Izery.

Bogusław Nowicki

Organizatorzy Konferencji „Zielone Karkonosze”: Związek Gmin Karkonoskich, Krkonoše - Svazek Měst a Obcí ve Vrchlabí, Książnica Karkonoska w Jeleniej Górze, Dolnośląskie Stowarzyszenie Prasy Regionalnej WRO-EURO

Patronat ze strony polskiej: Marek Łapiński, Marszałek Województwa Dolnośląskiego, poseł Marcin Zawila, przewodniczący Polsko-Czeskiej Grupy Parlamentarnej, członek Forum Polsko-Czeskiego przy polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych (MSZ)

Patronat ze strony czeskiej: profesor Josef Jařab, Przewodniczący Czeskiej Rady Programowej Forum Czesko-Polskiego przy czeskim MSZ, Martin Ehl, dziennikarz, członek Forum Czesko-Polskiego przy czeskim MSZ.

Kolej Izerska – światło w tunelu

Trasa kolejowa na linii Gryfów Śląski – Mirsk – Świeradów Zdrój wraz z całą infrastrukturą jest własnością Polskich Kolei Państwowych. Nadzór nad nieczynną linią kolejową nakłada na PKP obowiązek dbania o stan techniczny nieczynnej linii oraz poszczególnych jej obiektów.

Kto miał okazję odwiedzić w ostatnim czasie stacje kolejowe na powyższej trasie, zgodzi się, że ich stan jest katastrofalny. Co do samej linii kolejowej najgorsza sytuacja jest na odcinku Gryfów Śląski – Mirsk – w niektórych miejscach brakuje kilku metrów torów, a tam gdzie tory są, powoli zarastają je drzewa i krzewy. Od Mirska do Świeradowa wygląda to nieco lepiej. Mimo wszystko Polskie Koleje Państwowe pozwalają na dalszą degradację swoich obiektów. Nieoficjalnie wiadomo, że spółka Koleje Dolnośląskie jest zainteresowana uruchomieniem linii, która w obecnym stanie wymaga kilkumilionowych nakładów finansowych, które umożliwiłyby rozpoczęcie ruchu na tej trasie. Władze Polskich Kolei Państwowych obserwują duży bum gospodarczy i rozwój Świeradowa Zdroju i w związku z tym na razie nie chcą pozbywać się linii i nie są zainteresowane sprzedażą, czy dzierżawą.

Reaktywacja Kolei Izerskiej, bo tak nazywano ten odcinek w czasach największej świetności, stałaby się doskonałą atrakcją turystyczną oraz dodatkowym środkiem komunikacyjnym dla mieszkańców. Pomieszczenia stacji kolejowych w Mirsku i Świeradowie mogłyby stanowić dodatkową

bazę lokalową dla działań turystycznych i promocyjnych. W ostatnim czasie pojawiła się informacja, iż Starostwo Powiatowe we Lwówku Śl. planuje rewitalizację linii kolejowej na odcinku Lubomierz - Mirsk oraz z Mirska do Świeradowa Zdroju. Planowane jest mimo wszystko przejęcie od PKP linii kolejowej oraz budynków, w których niegdyś mieściły się kasy biletowe, poczekalnie i magazyny. Chodzi tu o pomieszczenia, które nie są aktualnie zagospodarowane w jakikolwiek sposób na stacjach w Lubomierzu, Mirsku i Świeradowie Zdroju. Celem przejęcia i dzierżawy pomieszczeń jest utworzenie w nich wypożyczalni rowerów. Byłaby to powiatowa sieć wypożyczalni, która stanowiłaby dodatkową atrakcję turystyczną powiatu. I tak na przykład turysta, który dotrze pociągiem do Świeradowa Zdroju, będzie mógł wypożyczyć rower na stacji kolejowej i oddać go na dowolnej stacji na terenie powiatu. Tak więc możliwe, że już niedługo dane nam będzie zrobić sobie wycieczkę trasą rowerową z Lwówka Śl. do Lubomierza, gdzie oddamy dwa kółka i przesiądziemy się do pociągu. Na linii z Lubomierza do Świeradowa Zdroju miałyby kursować tzw. „czeska pszczoła”,

którą powiat lwówecki ma już obietnicą od czeskiego przewoźnika

Jeżeli chcemy, aby na trasie Gryfów Śląski – Mirsk – Świeradów Zdrój kursowały ponownie pociągi, nawet jeżeli miały to być tylko kursy weekendowe, w tej chwili jest tzw. ostatni dzwonek na to, aby prowadzić rozmowy z PKP o przejęciu bądź dzierżawie linii, ponieważ za jakiś czas po infrastrukturze kolejowej na powyższej trasie zostaną tylko wspomnienia. Historia Kolei Izerskiej jest bardzo bogata i ciekawa, niejednokrotnie opisywana była na łamach miesięcznika Izery. Warto wspomnieć, że pierwszy parowóz na linii kolejowej Mirsk – Świeradów Zdrój wyruszył ze stacji w Mirsku 31 października 1909 roku, a więc równo 100 lat temu. Pozostaje nam więc trzymać kciuki i mieć nadzieję, że po 100 latach na stacji w Mirsku ponownie zatrzyma się pociąg.



Kiedyś pulsujący życiem, dziś zaniedbany i zdezastrowany dworzec kolejowy w Mirsku.

Bartosz Kuświk

Swój zbój

„Strażnik Miejski szczegółowo ogląda ładę chłodniczą z wędliną w sklepie ogólnospożywczym: -Poproszę kawalek... zbójnickiej. Ekspedientka dzieli i pakuje towar. Ktoś z kolejki z uśmiechem pyta: - Strażnik Miejski i zbójnicka? Czy to wypada? – Strażnik odpowiada żartobliwie: - To w celu wstępnego rozpoznania środowiska!”

Zamierzenia Strażnika z Mirska nie są bezpodstawne. Tradycje zbójnickie w naszej gminie sięgają kilku stuleci wstecz. Wyczyny trzech rzeźmieszków grasujących po naszej okolicy w pierwszej połowie XIX wieku zostały zapisane i sława ich przetrwała do naszych czasów. W okolicy od Starej Kamienicy po Szklarską Porębę rej wodzili dwaj rozbójnicy: Blech i Szober, trzeci był zwany „Cudownym”, ponoć nie miały się ich kule. Blech i Szober napadali okolicznych mieszkańców oraz dokonywali zuchwałych napadów na kupców przyjeżdżających w te strony. „Cudowny” działał sam, a zatem jego dokonania były mniej spektakularne. Długo zbójnicy umykali sprawiedliwości. Mieli wielu zwolenników, a sieć kryjówek pozwalała na szybkie i częste zmiany miejsc pobytu. Ukrywali się w Wilczych Dołach koło Gajówki i w Lisiej Jamie pod Młyńskim, w Kamiennej Górze

koło Rębiszowa, w Ciemnym Wądole pod Przeczną, nie gardzili niebezpiecznymi sztolniami w Gierczynie. Ludzie bali się ich, a jednocześnie podziwiali. Posądzali zbójców o kontakty z diabłem, duchami i pogańskim bożkiem Wodanem. Legenda niesie, że odlewali kule o czarodziejskiej mocy. Okradając okoliczne kościoły, wyjmowali ołów z witraży, oczodoły czaszek wykopanych spod szubienicy służyły za formy do odlewu kul. Odlew koniecznie musiał trwać 12 nocy, a towarzyszyły mu obrzędy pogańskie zakrapiane zaklęciami (i pewnie nie tylko). Tak powstałe kule trafiały do celu na myśl strzelca, wystarczyło tylko pójść w kierunku strzału i zabrać zdobycz. Ponoć do dziś w okolicy Antoniówki można spotkać człowieka-zjawę, który ukazuje się w lesie zbłąkanym mieszkańcom, pyta: „Czy już czas?” i nie czekając odpowiedzi, strzela ze swojego muszketu w kierunku

Kamienieckiego Grzbietu. Jeśliby poczekać (co się nie zdarza wystraszonemu ludziom), można zobaczyć jak z rozpadlin skalnych wychodzi zjawa niosąc upolowane zwierzę, a potem znika w zaroślach. Nikt następnego dnia nie trafił ponownie w miejsce spotkania z duchem. Może to potępiona dusza „Cudownego” szuka pomocy? Jaki los go spotkał, nikt nie zapisał. Blech i Szober zostali pojmani w Górzycu i ścięci w Zgorzelcu.

W starych dokumentach przetrwał też opis pewnej kobiety z Rębiszowa, która „trudniła” się złodziejstwem. Przybyła na targ do Mirska. Tu „zrobiła na białą” pewnego Czecha. W Mirsku na złodziei mówiono „Biały Kosma”, a pochodziło to z gwary. O poszkodowanym mówiło się to ten „zrobiony na białą” (obecnie ktoś oszukany jest „zrobiony na szaro”). Podczas kradzieży sakiewki powstało zamieszanie i złodziejka wpadła w ręce strażników targowiska. Została osadzona w miejscowym więzieniu. Sąd był szybki, a wyrok surowy. Kilka dni później została powieszona na szubienicy.

Źródła- Ks. Władysław Stępiak, „MIRSK-dzieje miasta do 1945 roku”

Jola SZ.

Przywitajmy jesień

Ostatnia niedziela września. Ciepło, już trochę jesienne i nieruchome, powietrze ogrzewa leniwe muchy wylegujące się na ścianie. Gdzieś w oddali pieje kogut, przy nodze sapie pies, a kot tarza się w piachu. „Babie lato” już chyba odleciało, odleciały niektóre ptaki, ulatuje ostatni weekend września. Jesień powolutku wkrada się przez otwarte drzwi domu. Chyba trochę jeszcze jest latem. Czerwone jabłka wygrzewają się na wciąż zielonej trawce. Jeszcze liście zielone, jeszcze niektóre kasztany wiszą w koszykach, a już przez szparę w drzwiach zagląda jesień.

Jak każda pora roku, ona też ma swoje uroki. Pachnące owoce, szeleszczące pod butami liście, kwitnące wrzose, deszczowe łąki. Jest zapachem ziemi i jej plonów, ubłocnymi butami, zwiwnym wiatrem, spadającymi kasztanami, kolorowymi liśćmi, słotą i pluchą. Jest piękna. Tylko dlaczego tak jej nie chcemy? Dlaczego tak uparcie chcemy, żeby wciąż było lato? Dlaczego tak uparcie chcemy krótkich spódniczek i głębokich dekoltów? Wakacji i letnich romanсів. Może chcemy, żeby czas się zatrzymał w najlepszym momencie naszego życia. Wtedy, kiedy jesteśmy pełni lata. Słońcem i dojrzałymi owocami. Silni i mocno ukorzenieni w naszym pełnym radości życiu.

Ale jesień przyjdzie, nie pytając o pozwolenie, bo taki jest cykl naszej Ziemi, bo taki jest cykl życia. Pewnego dnia pojawia się i żółty liść, i srebrny włos.

Po wiośnie przychodzi lato, potem jesień i zima. Rodzimy się, dorostamy, starzejemy i umieramy. Nie będziemy wiecznie młodzi tak, jak nie będzie wieczne lato.

Pozwólmy tej pięknej jesieni wejść do naszych serc. Pozwólmy sobie na zadumę i zastanowienie nad tym, co ważne. Po co walczyć z biegiem czasu? Zechciejmy jesieni, zmiany koloru naszych włosów, siateczki pajęczków wokół oczu i tej mądrości, która przyjdzie z zadumą. Niech przyjdzie w całej swojej glorii, wielobarwna, uśmiechnięta i mądrzejsza od wiosny. Pozbiera plony z naszego życia, zgromadzi dojrzałe jabłka, którymi będziemy mogli dzielić.

Cieszymy się skoszonym zbożem, nowymi szkolnymi zeszytami, ziemniakami w piwnicy, grzybami w lesie.

Przyjmijmy nasze siwe włosy pojawiające się gdzieś tam, zmarszczki wokół

oczu, okrągłą sylwetkę. To wszystko jest piękne, bo nasze. Odkryjmy mądrość, która przyszła wraz z jesienią. Odkryjmy naszą mądrość, nie tę wyczytaną w książkach, ale naszą, prawdziwą, prawdziwą naszymi przeżyciami, naszym cierpieniem, bólem, naszą radością i miłością naszej rodziny.

Ale tak jak jesień nie może przekazać wiośnie swojej mądrości, tak i my nie możemy wlać w głowy naszych dzieci przestrogi, jak unikać błędów. Zapamiętajmy, więc naszą mądrość dla siebie, bo potem znów, jak wiośnie, przyjdzie nam od nowa zmagać się z wiosennymi burzami, wiatrami łamiącymi gałęzie, palącym żarem namiotności, moralnym dyskomfortem albo płaczem dzieci. Musimy zapamiętać mądrość, że czasem jak wieje silny wiatr warto ugiąć gałęzie, żeby je ocalić. Musimy zapamiętać mądrość, że deszcz i burza nie są po to, aby przynieść ból i cierpienie. Trzeba zaakceptować i odżywczy deszcz, jaki przynoszą burze, ale też te i połamane drzewa, które kiedyś będą mogły pokazać z dumą odrastające konary i zabliznioną ranę.

Przywitajmy jesień, bądźmy mądrzy i silni razem z nią.

Edyta Kardasiewicz

Izerski spacer na kółkach

Redakcja internetowego magazynu turystycznego Góry Izerskie .pl zorganizowała spacer po Górach Izerskich, w którym udział wzięły osoby niepełnosprawne poruszające się na wózkach.

W sobotę, 12 września 2009r., małą grupką piechurów i „wózkarzy” wyruszyliśmy z Jakuszyc w kierunku Orle. Trasę wybraliśmy nieprzypadkowo – zielony szlak prowadzący starą asfaltową drogą, jest jednym z nielicznych w polskich górach, którymi można spacerować na wózkach inwalidzkich. Poza przyjemnością obcowania z lasem, celem wyprawy było rozpoznanie: czy szlak może przejechać osoba na wózku inwalidzkim, w jakim czasie, jaki jest profil wysokościowy trasy? Czy nie jest to wyzwanie ponad siły „wózkarzy”? Mimo niesprzyjającej pogody – niebo mżyło i straszło deszczem – wczesnym popołudniem wyruszyliśmy z parkingu pod Ośrodkiem Narciarstwa Biegowego w Jakuszytach. Pogoda wnet się poprawiła, a po 1,5-godzinny spacerze powitał nas gospodarz Stacji Turystycznej Orle - Stanisław Kornafel. W lesie nad Kamionkiem roilo się od grzybiarzy, bowiem w Stacji odbywały się akurat zawody w grzybobraniu. Choć grzybów nie zbieraliśmy – też poczuliliśmy się zwycięzcami!

Po wielu miesiącach przygotowań, niemal dwa lata od zaświtania w głowach idei, integracyjny spacer izerski stał się faktem. Naszym wypadem postawiliśmy pierwszy „krok” na długiej i wyboistej drodze – teraz rozpoczyna się zmagania z rzeczywistością aby usunąć wiele barier utrudniających niepełnosprawnym poznanie gór.

Podstawowe przeszkody są takie jak wszędzie: schody prowadzące do schronisk, brak miejsc noclegowych przystosowanych dla „wózkarzy” oraz brak toalet, z których mogą korzystać bez pomocy. Lecz to są trudności do pokonania! Przy dobrej woli, wsparciu samorządów i organizacji pozarządowych oraz przychylności turystycznej braci, wierzymy, że wkrótce widok turysty na wózku inwalidzkim w Górach Izerskich nie będzie niczym niezwykłym.

Zapraszamy wszystkich, którzy chcą pomóc w popularyzowaniu turystyki w Górach Izerskich wśród osób

niepełnosprawnych do współpracy!

Na wózkach dzielnie spacerowali: **Diana Bulanda** – studentka stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu, (po zajęciach zagorzała pływaczka) oraz **Jędrzej Jaxa-Rożen** – filozof, aktywny pilot i zawodnik paralotniowy. Oboje angażują się w wiele inicjatyw na rzecz osób



Cała grupa po starcie z Jakuszy.

niepełnosprawnych, działając m.in. w Stowarzyszeniu Pomocy dla Chorych po Urazie Rdzenia Kręgowego „AXIS”.

Arkadiusz Lipin
Góry Izerskie .pl

Magia Kresów

Lwów to miasto-legenda. Jego nazwa przewija się w rozmowach starszych mieszkańców naszego miasteczka i okolicy, a jak sięgnąć pamięcią do szkolnej ławy- na lekcjach historii. Przez wiele lat nie rozumiałam kresowych wspomnień zmieszanych z pewnym żalem i nostalgią, rozpamiętywań na temat świetności tego miejsca.

Czasami warto uwierzyć legendzie. Dwukrotnie miałam okazję postawić stopę na popolskim bruku (u nas mawia się na „poniemieckim”). Ten ostatni raz miał miejsce w sierpniu podczas przejazdu w Karpaty Ukrainie w towarzystwie przyjaciół z Mirska. Choć w przelocie, ale posmakowaliśmy klimatu tego miasta, nie tylko oczami i wyobraźnią, ale też podniebieniem, smakując tamtejsze specjały. I powróciły wspomnienia mojej pierwszej bytności we Lwowie. Pamiętam niepozorną szarawą kamienicę, w której przed wojną, w nieistniejącej już Kawiarni Szkockiej, słynny polski matematyk Stefan Banach, degustując koniaczek, spisywał na serwetkach, czasami na blacie stolika, swoje matematyczne pomysły z dziedziny analizy funkcjonalnej. W towarzystwie równie sławnych kolegów po fachu – Hugo Steinhausa, Władysława Orlicza i Stanisława Ulama (współtwórcy amerykańskiej bomby jądrowej), grywał w szachy. Śladami Banacha można przemierzyć dawny Lwów, by dojść na słynny Cmentarz Łyczakowski, gdzie ten wybitny człowiek jest pochowany. Tutaj czas się zatrzymał, czas dla nas Polaków okupiony chwilą męstwa i chwały. Na wzgórzu, w cieniu starych drzew, spoczywają Powstańcy Styczniowi. Proste mogiły uwieńczone metalowymi krzyżami

mi każą pokłonić się Wielkiej Historii. I ten wiek bohaterów: 16, 17, 18, 19 lat! W najnowszej części nekropolii też młodzi chłopcy, nawet 15-letni, to Orlęta Lwowskie. Patriotycznym zrywem w czasach współczesnych było odrestaurowanie Cmentarza Orląt Lwowskich. Wierzyć się nie chce, iż niedawno, w czasach Związku Radzieckiego, znajdował się tutaj zakład kamieniarski, a wszelkie przejawy „postawienia” grobu kończyły się wyrównywaniem terenu za pomocą czołgów! Polacy mieszkający we Lwowie dokładają wielu starań, aby odtworzyć to miejsce, już dzisiaj można doliczyć się około półtora tysiąca żołnierskich mogił. Między nimi krzątają się rodacy, mamy okazję usłyszeć śpiewną kresową polską mowę.

Spacer urokliwymi uliczkami Lwowa przywołał falę wspomnień, jakie można usłyszeć w niejednym mirskim domu. Historia „zabrała” nam połowę ziem należących do I i II Rzeczypospolitej, do-

staliśmy w zamian inny kawałek świata. Wielu Polaków pozostało na Wschodzie. To oni porządkują groby naszych przodków. Skończył się czas wakacyjnych podróży. Przed nami dwie ważne daty: pierwszy i jedenasty dzień listopada. Moment na zatrzymanie się, moment na czuły gest w postaci pamięci o tych, którzy odeszli, o tych, dzięki którym jesteśmy „tu i teraz”. Jestem stąd! I tak jak słynny Banach, kuszony czekiem (z kwotą o liczbie 1... ilość zer miał sobie sam wpisać!) za wyjazd do Ameryki, odparłabym „To za mała suma jak za opuszczenie Polski”. Pobyt we Lwowie uzmysłowił mi jak



Dworzec kolejowy we Lwowie.

ważne są wspomnienia, jak ważne są korzenie. Śpieszmy się słuchać sędziwych już Kresowian, spisujemy ich opowieści. Te barwne wspomnienia szybko odchodzą razem z nimi...

Beata Nowicka

Jak połączyć przyjemne z pożytecznym, czyli propozycja weekendowej „ucieczki” z domu.

Za oknami ostatnie podrygi słonecznej aury. Idzie jesień, nie ma na to rady! Pierwsza niedziela października. Pakujemy bagażnik samochodu (kosze na grzyby, rowery). Jedziemy w Bory Dolnośląskie.

Tuż za Lubaniem skręcamy na Żagań, czy jak kto woli- kierunek autostrada A4. Wyremontowaną drogą zmierzamy w kierunku Węglińca, Ruszowa. Od lasów i płatyniny nowych dróg (wreszcie!) kręci się w głowie. Zapach boru sosnowego każe skręcić w Ruszowie na Polanę. To w jej okolicy udamy się na grzyby. Po dwóch godzinach miła perspektywa Bożego Narodzenia w otoczeniu potraw na bazie podgrzybków (prawdziwek tylko jeden, niestety nadgryziony „zębem” czasu). Ruszamy w stronę Gozdnicy, dalej Łęknicy. Kierujemy się znakami i informacjami uzyskanymi od grzybia-

rzy, na miejscowych nie ma co liczyć, bo okolica słabo zaludniona. Docieramy do przejścia granicznego Łęknica-Bad Muskau. Jesteśmy u celu. Pożyteczne (czytaj grzybobranie) za nami, teraz kolej na przyjemne. W odległości ok. 100 km od Mirska znajduje się słynny Park Mużakowski (Mużaków to słowiańska nazwa Bad Muskau). W 2004 r. obiekt ten został wpisany na Światową Listę Dziedzictwa Kultury i Natury UNESCO.

„Ogrodnik wykorzystuje naturę, by swój ideał stworzyć; harmonijną całość, której melodia wszystkie zmysły porusza”. Taką sentencją kierował się książę

Herman von Puckler-Muskau, twórca parku. Przez 30 lat wytrwale planował i urządził park. Zagospodarował powierzchnię ok. 1000 ha (800 ha znajduje się po naszej stronie, 200 po stronie niemieckiej). W bezkres łąk, malowniczych wzgórz (teren parku obejmuje fragment największej na świecie moreny czołowej, zwanej Łukiem Mużakowa), wijącej się Nysy Łużyckiej, wkomponował jedyne w swoim rodzaju budowle: zamek, mosty, altany, mauzoleum, fontanny i co tylko miłośnik sztuki parkowej może sobie wyobrazić. Proponuję udać się najpierw na niemiecką stronę, gdyż tuż za przejściem znajduje się wejście do parku (po prawej stronie za mostem granicznym). Wszystkie alejki zaprowadzą nas do Nowego Zamku- centrum informacji turystycznej. Nie będziemy mieli problemu z dotarciem, bo na drogowkach widnieją polskie napisy. W informacji turystycznej za-

opatrzyliśmy się w mapę parku, aby móc przemierzyć na rowerach dzieło księcia Pucklera. Istnieje możliwość wypożyczenia rowerów na miejscu w cenie 5 euro za cały dzień. W zamku znajduje się wystawa interaktywna „Puckler ! Puckler? Po prostu brakuje słów...”, a z wieży budowli można napawać się fascynującym, rozległym widokiem. Nam też zabrakło słów... Pierwszy kontakt z parkiem był szokiem, w pozytywnym znaczeniu oczywiście. I sprawdziły się w realiach słowa księcia, który swoją pracę określił jako „malarstwo przyrodą, wywołanie obrazu nie farbami, lecz za pomocą istniejących w naturze lasów, gór, rzek, łąk...” Park Mużakowski jest przykładem ogrodu angielskiego. Dla mnie, do czasu tej podróży, ten rodzaj ogrodu kojarzył się z bezładną aranżacją, w przeciwieństwie do ogrodów zakładanych na modłę francuską (wersalską). Liczne drogi w parku

prowadzą do miejsc najpiękniejszych (wszystkie miejsca należy takim mianem nazwać!), miejsc ukrytych wśród bujnej zieleni, położonych na znacznych wysokościach, z których rozciąga się imponujący widok na dalsze zakątki parku. Można bez końca snuć się alejkami, niekoniecznie jeździć rowerem (istnieje też opcja przejazdu bryczką) i podziwiać przyrodę, w tym najróżniejsze gatunki drzew. Na końcu parku, po polskiej stronie, znajduje się arboretum, ale tutaj nie dotarliśmy, celowo, bo w to miejsce na pewno powrócimy!

Park jest wielki! Wielkie było też przedsięwzięcie jego restauracji. Niemcy uporali się z odnową architektury ogrodowej w 100 %, polska strona jest nieco zaniedbana, ale miejmy nadzieję, że z czasem i ta część będzie wierną kopią dziewiętnastowiecznego przedsięwzięcia pasjonata sztuki zakładania ogrodów.

Będąc w Parku Mużakowskim, zdałam sobie sprawę z faktu, że wreszcie kontrowersyjna Nysa nie dzieli, ale łączy, mamy naprawdę Europę bez granic. Podróż rowerem przez podwójny most na rzece, na terenie parku oczywiście, była tego namacalnym dowodem. Do Mirska wróciliśmy niemiecką stroną. Chcieliśmy zobaczyć, jak to nasi sąsiedzi zza między wykorzystują dary borów sosnowych. Tuż za Bad Muskau ciągnie się teren poligonu, a zatem wstęp do lasu zabroniony, co prawda gdzieś tam stały zaparkowane samochody, ale ryzyko dla przybyszy ze wschodu było duże. Zatrzymaliśmy się na chwilę w miejscu dozwolonym rzecz jasna, tłumów grzybiarzy nie spotkaliśmy, tylko... sterty śmieci, niewielkie co prawda, ale... poczuliliśmy się jak u siebie, w końcu u nich też jest Europa bez granic.

Beata Nowicka

Drzewa jesienią są najbardziej magiczne...

Mój nauczyciel biologii, pan Wojciech Urbaniak z Chojnowa (przesyłam przy okazji pozdrowienia) miał nikły szacunek do wiedzy swoich uczniów, a w szczególności wypominał nam brak znajomości nazw drzew występujących w okolicy, serwował do znudzenia własnej produkcji humor: „Dziewczyna i chłopak umawiają się pod dębem o 17.00, ona czeka o czasie pod świerkiem, on na drugim końcu miasta pod kasztanowcem”.

To zmobilizowało nas do poznawania wszystkich gatunków drzew, jakie można było napotkać w gminie. Do dzisiaj, jeśli widzę nie znany mi obiekt przyrodniczy, sprawdzam jego nazwę, zawsze z myślą o nauczycielu od biologii (z wyrazami szacunku panie Wojciechu).

Monumentalne i budzące wiele szacunku są dęby. Na terenie gminy Mirsk występuje przede wszystkim dąb szypułkowy, ten o długich żołędziach. Jest drzewem długowiecznym, żyje średnio ponad 700 lat. Rośnie szybko (nawet do 200 lat) na wysokość, dalej już tylko na objętość. Najbliżej nas rosnący dąb szypułkowy o sławie światowej to Dąb Chrobry z rezerwatu przyrody Buczyna Szprotawska w Borach Dolnośląskich w okolicy Piotrowic. Za pomnik przyrody uznany został 24 marca 1967 r. Już przed II wojną światową był chroniony. Jego wiek ocenia się na ok. 750 lat (wykiełkował około 1250 roku) Rozpiętość korony wynosi ok. 16 m, wysokość 28 m, a obwód pnia 9,92 m, pierśnica (grubość mierzona na 1,30 m wysokości drzewa od gruntu) 315 cm. Tym samym jest to obecnie trzeci dąb pod względem objętości drewna, znajdujący się w środkowej Europie. Objętość drewna to ok. 90 m³ i jest największa wśród dębów polskich. Warto pojechać i

zobaczyć na własne oczy, zwłaszcza, że żołędzie dębu zostały poświęcone przez papieża Jana Pawła II 28 kwietnia 2004 roku podczas pielgrzymki leśników do Watykanu. W szkółce w Rudach Raciborskich wyhodowano z nich 500 sadzonek (każda z nich ma certyfikat pochodzenia), które zostały rozsądzone po całym kraju jako tzw. dęby papieskie, upamiętniające Papieża-Polaka. Dąb czerwony jest bardziej malowniczy, zwłaszcza jesienią i ma okrągłe owoce. Sadzony jako drzewo ozdobne, pochodzi ze wschodniej części Ameryki Północnej. Zaliczany jest do roślin inwazyjnych i niebezpiecznych dla rodzimej flory. Powinien być usuwany z obszarów chronionych, a także z lasów podczas przebudowy drzewostanów. W „samosiewie” pomaga mu wiele ptaków, wypiera tym rodzime gatunki dębów i inne drzewa. Sam w sobie nie przedstawia większej wartości użytkowej.

Uprawę Kasztanowca zwyczajnego w Europie rozpoczęto w Austrii w 1576 roku, dokąd kasztanowiec zwyczajny został sprowadzony do ogrodów cesarza Maksymiliana II ze Stambułu. W Polsce pojawił się pod koniec XVI wieku, sprowadzony z Austrii. Do XIX wieku nie znano jego pochodzenia, rozpowszechniona była opinia, że ta roślina wywodzi

się z Indii. Ma dużą wartość leczniczą, wiele leków powstaje na bazie kwiatów i młodych owoców. Stosowany jest przy: hemoroidach, dolegliwościach w okresie klimakterium, stanach zapalnych wątroby, gruczołu krokowego, miednicy mniejszej, żylaka powrózka nasiennego, odmrożeń, obrzęków skóry i tkanki podskórnej, obrzęków głośni, płuc, a nawet mózgu, krwaków, zapalenia ścięgna, zakrzepowego zapalenia żył. W przemyśle chemicznym otrzymuje się z niego składniki do środków piorących, gaśniczych i kleje. Owoce cenione są wśród radiestetów za swoje „właściwości magiczne”. Położone pod łóżkiem bądź biurkiem, wpływać mają na polepszenie samopoczucia i przyrost sił vitalnych, zmniejszać szkodliwe oddziaływania tzw. żył wodnych, w koszyczku obok komputera też mogą leżeć. Niestety w latach 80. XX wieku w Europie zaczął się rozprzestrzeniać motyl szrotówek kasztanowcowiaczek, żerujący na liściach kasztanowców i osłabiający drzewa. Kasztanowce w całej Polsce zostały zaatakowane przez tego szkodnika, sposobem na niego może być ostra zima lub systematyczne grabienie i palenie suchych liści jesienią.

Ze względu na wiek, rozmiar, egzotyczne pochodzenie wiele drzew, zwłaszcza dębów zasługuje na miano pomnika przyrody. W gminie Mirsk od 2004 roku za takie uznano 76 dębów czerwonych, rosnących wzdłuż drogi leśnej z Mirska do Rębiszowa, 5 dębów szypułkowych rosnących w Kamieniu, Brzezińcu, Karłowcu i Mirsku. Cdn.

Wiedźma Izerska

Z mapą w dłoni... – okiem siedemnastolatki

„Uliczkę znam w Barcelonie...” – śpiewali, najpierw Hanka Ordonówna, a następnie Bohdan Łazuka. Uliczek w Barcelonie, tych mniej lub bardziej atrakcyjnych, można znaleźć wiele. Te najbardziej urokliwe znajdują się na pewno w „ciasnej” Dzielnicy Gotyckiej (katalońskie *Barri Gotic*), choć zatłoczona *Rambla* również może znaleźć swoich zwolenników. Jednak, jak każde inne miasto, Barcelona to nie tylko uliczki, ale też zabytki, ludzie i pewna magiczna atmosfera, towarzysząca każdemu, kto zdecyduje się odwiedzić stolicę Katalonii. Tym razem spróbuję krótko przedstawić parę miejsc, które, moim zdaniem, warto zobaczyć w tej wielokulturowej aglomeracji.

Na wstępie, warto podkreślić, że Barcelona zajmuje ok. 100km², więc zobaczenie wszystkich tych miejsc w jeden dzień i na piechotę – jest praktycznie niemożliwe. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że najlepiej jest skorzystać z bogato rozwiniętej linii metra, łączącej najważniejsze punkty w mieście. Codziennie tysiące mieszkańców i turystów korzystają z tego środka transportu, przemieszczając się w wielu kierunkach. Skoro już wiemy, jak podróżować – co możemy zobaczyć? Pierwszym ważnym zabytkiem jest wspominana już Dzielnica Gotycka, która stanowi centrum Starego Miasta. Rozciąga się ona pomiędzy wybrzeżem Morza Śródziemnego a rondem Sant Pere oraz między aleją *La Rambla* i ulicą *Via Laietana*. Jest to teren, na którym zachowała się największa liczba obiektów z okresu rzymskiego osadnictwa na terenie dzisiejszej Barcelony. Na jej terenie znajduje się inny, równie ważny punkt – katedra św. Eulalii, która jest jednym z cenniejszych przykładów architektury średniowiecznej w Hiszpanii i zarazem siedzibą archidiecezji barcelońskiej. Główną cechą tego terenu są urokliwe uliczki, które na pewno można nazwać rajem dla fotografów. Niedaleko *Barri Gotic* znajduje się *Rambla* – aleja popularna zarówno wśród miejscowych, jak i turystów. Deptak ten pełen jest straganów, kawiarenek i artystów ulicznych – każdy znajdzie dla siebie coś ciekawego. Kontynuując naszą podróż po Barcelonie docieramy do dzieła artysty będącego symbolem tego miasta – Antonio Gaudiego. Pierwszym jest *Park Güell* – położony na obrzeżach miasta ogród z elementami architektonicznymi. Projekt w założeniu był osiedlem dla bogatej burżuazji mającym powstać na powierzchni 20 ha w pobliżu tzw. Łysej Góry. Prace trwały w latach 1900-1914. Projektu tego Gaudí nigdy nie ukończył. W 1922 roku władze Barcelony wykupiły teren i przekształciły go w park miejski. Najciekawszymi elementami tego

miejsca są: schody wejściowe do głównego pawilonu (Gaudí umieścił w nich trzy wysepki; pierwszej nadał formę groty, drugiej – węża na tle katalońskiej flagi – symbolu mądrości, trzeciej – salamandry – symbolu Plutona), Sala Kolumnowa (główny pawilon, który miał służyć za targ. Liczy 86 kolumn o wzorach antycznych, w których środku są specjalne kanały umożliwiające spływ wody z położonego nad pawilonem tarasu), a także tzw. Jaś i Małgosia – dwa domki stojące przy bramie głównej parku. Warto dodać, że do stworzenia wielu

fot. Marta Bielak



Barcelona- Park Güell

elementów Gaudí użył materiałów, które dostarczyli mu mieszkańcy – potłuczone talerze, filizanki itp. pozwoliły stworzyć niepowtarzalne mozaiki, zapierające dech w piersiach nawet dzisiaj. Kolejnym dziełem tego artysty są *Casa Milà* (*La Pedrera*) i *Casa Batlló*, znajdujące się przy *Passeig de Gracia* domy o unikalnych fasadach i wnętrzach, stworzonych według osobliwego stylu architekta, opierającego się na parabolicznych łukach, fantastycznych formach i zawiłych deseniach wzorowanych na opływowości świata. Początkowo nie rozumiany, ekscentryczny, krytykowany, dziś jest uważany za geniusza, głównie dzięki następnemu punktowi, który jest przed nami – *La Sagrada Família*, czyli *Świątynia Pokutnej Świętej Rodziny*. Budowę kościoła rozpoczęto w 1882 roku,

jednak dopiero rok później pracę zlecono Gaudiemu. Przez następne cztery dekady pracował on intensywnie nad konstrukcją, poświęcając jej całkowicie ostatnich 15 lat życia. Podczas prac nieustannie dostosowywał i zmieniał pierwotne założenia. W 1926r. architekt zginął, wpadając pod przejeżdżający omnibus, pozostawiając tylko jedną z trzech zaprojektowanych fasad. Z powodu organicznej formy budowli oraz niepowtarzalności detali architektonicznych (tak jak w naturze żaden z nich nie jest identyczny i musi być osobno rzeźbiony) do dziś nie udało się jej ukończyć, ponieważ projekty świątyni pozostawione przez architekta zostały zniszczone w czasie hiszpańskiej wojny domowej przez katalońskich anarchistów. Będąc w Barcelonie nie można ominąć wzgórza *Montjuic*, które wielu osobom może kojarzyć się z letniskami Olimpijskimi z 1992 roku, które odbywały się m.in. na Stadionie Olimpijskim. Ogromną zaletą tego miejsca jest również punkt widokowy, z którego jest doskonały widok na port. Innym interesującym wzgórzem jest *Tibidabo* – z Kościołem Serca Jezusowego i wesołym miasteczkiem. Jako *cule* nie mogę oczywiście pominąć stadionu FC Barcelony – *Camp Nou*. Mimo, że z zewnątrz obiekt nie wygląda imponująco, wewnątrz sprawia niesamowite wrażenie, które jednak nie może równać się z atmosferą, która towarzyszy 94tys. ludzi, pojawiającym się na meczach.

Oczywiście, to tylko jedno z nielicznych punktów turystycznych w stolicy Katalonii, ponadto znajdują się tu jeszcze m.in.: port, *Barceloneta*, muzeum *Picassa*, *Plac Kataloński*, *Plac Hiszpański* (ze słynnymi „tańczącymi fontannami”), *Łuk Triumfalny*, czy *Plaża Reial* (z wieloma kawiarenkami na świeżym powietrzu). Jednak aby zobaczyć wszystkie te miejsca, nie wystarczy nawet miesiąc, a pewnie nawet mieszkańcy tej aglomeracji nie są w stanie znać jej całej.

Magiczna Barcelona potrafi sprawić, że zostanie pokochana lub znienawidzona i nie każdemu będzie dane poznać ją z najlepszej strony. Każdy może jednak spróbować poczuć klimat tego miasta, żyć po katalońsku, bez pośpiechu, z osłim uporem dążąc do obranego celu. Jeśli potrafisz cieszyć się chwilą i czas nie ma dla Ciebie wielkiego znaczenia – Barcelona jest miejscem idealnym dla Ciebie! Jeśli Ty ją pokochasz, ona odwzajemni Ci to w magiczny sposób...

Marta Bielak

Z dziejów sprawiedliwości mirskiej (cz.2)

Teren przy szubienicy był przeznaczony do grzebania skazańców, samobójców oraz padliny. Odnośnie samobójców sprawę regulowało rozporządzenie cesarskie z 8 sierpnia 1657 roku. Wszystkich samobójców, bez żadnych względów, i to w ciągu dnia, należy przez kata i jego pacholków przez miasto zaciągnąć pod szubienicę i tam pochować. Liczono na odstraszenie w ten sposób potencjalnych samobójców.

26 maja 1665 roku powiesił się miejscowy grabarz Mikołaj Harrsuch. Znalezione go 5 czerwca, a kat dopełnił ceremonii pogrzebowych pod szubienicą. 6 lipca 1699 roku pochowano pod szubienicą 70-letniego Schwedlera z Krobicy, który popełnił samobójstwo przez powieszenie. Tego samego dnia pochowano tam też kobietę, niejaką Negern z Rębiszowa, która także się powiesiła. Ciała samobójców zostały przywiezione przez parobków kata na taczce pod szubienicę. 1 grudnia 1732 roku samobójstwo przez utopienie w studni popełniła żona Jerzego Neumanna. 3 grudnia została wyciągnięta ze studni przez 2 katów i 3 pacholków katowskich, następnie na taczce przewieziona przez całe miasto i pod szubienicą pochowana. 7 marca 1747 roku wyszło zarządzenie królewskie, które złagodziło zwyczaj grzebania samobójców. Każdy, kto popełnił samobójstwo z żalu, rozpacz, melancholii miał być pogrzebany tak, jak inni zmarli. Kat w dawnych czasach był bardzo ważną osobą. Kojarzy się z postawnym mężczyzną w charakterystycznej masce i z toporem lub mieczem. Rzeczywistość była jednak nieco inna. Jedynym obowiązkowym elementem stroju był kapelusz, najczęściej czerwony. Był osobą „niehonorową”, dlatego też normą były małżeństwa pomiędzy rodzinami związanymi z katowskim fachim oraz przechodzenie zajęcia z ojca na syna. Kat mieszkał poza miastem. Jego wynagrodzenie za egzekucje i tortury, stosowane przy przesłuchaniach, stanowiły skromną część dochodów. Do codziennych zajęć kata było utrzymywanie miasta w czystości, a więc usuwanie padłych zwierząt (im większe, tym lepiej płatne), sprzątanie więzień, łapanie bezpańskich psów. Czasem był wzywany w charakterze lekarza.

Zachował się cennik z 1532 roku: za torturę każdego rodzaju-1 talar, delikwenta postawić pod pręgierzem i wypędzić z miasta-1 talar, pod pręgierzem postawić, różgami batożyć i obciąć uszy-2 talary, za egzekucję przy użyciu powroza-3 talary, skazanemu obciąć prawą rękę- 4 talary, ściąć głowę-5 talarów, utopić w worku- 5 talarów, ściąć mieczem, potem na koło położyć i kołem połamać-6 talarów, żywcem zakopać, następnie kołkiem przebić serce- 6 talarów, skazańca żywcem spalić-

6 talarów, ściąć mieczem, a potem spalić- 7 talarów, smażyć w oleju- 7 talarów, bluźnierczy język uciąć, a potem pomału spalić- 8 talarów, przebić dzidą, a w czasie tego spalić mu prawą rękę- 10 talarów, skazańca w czterech rogach miasta płonącymi obcęgami przypalać, potem utopić lub ściąć- 10 talarów, rozżarzonymi obcęgami ciągnąć, pasy ze skóry zrywać, a wreszcie poćwiartować-12 talarów, rozpustnika i cudzołóżnika wytrzebić, a obcięte części za uszka powiesić-6 talarów, za sprzątnięcie samobójcy- 6 talarów, zaostwienie egzekucji- 1 talar, potwierdzenie dla sądu- 2 talary, za pochowanie zwierzęcia, z którym dopuszczono się grzechu sodomskiego- 3 talary

Dla porównania cennik kata z Kamiennej Góry zawierał m.in. takie pozycje: za tortury podczas przesłuchania i ścięcie mieczem- 12 talarów, spalenie żywcem- 15 talarów, poćwiartowanie lub rozszarpanie końmi- 12 talarów, powieszenie- 8 talarów, chłosta- 8 talarów, utopienie- 10 talarów, za pogrzebanie żywcem i przebicie serca kołkiem- 12 talarów, szarpanie szczypcami ciała-1 talar za jedno szarpnięcie.

Ceny pochodzą z późniejszego okresu (około 100 lat) niż cennik mirski. Różnice są zapewne związane z „klasą” kata lub też po prostu z inflacją. Jak widać, wyobrażenia naszych przodków była bardzo bogata. Sporo atrakcji za całkiem nieduże pieniądze.

Nie natrafiłem na informacje, od kiedy w Mirsku „pracował” kat. Z pewnością był od XV wieku nieprzerwanie do 1692 roku, kiedy to w czasie powodzi woda zabrała wszystkie posiadłości kata wraz z polami i łąkami. Miejskimi katami byli: Marcin Frieder – zmarł 9 grudnia 1633 roku w wieku 93 lat. Ponoć wykonał on w swym życiu 907 wyroków.

Belzer Metzig – był katem do 27 września 1692 r., kiedy to urząd odsprzedano katowi z Gryfowa, Henrykowi Greulichowi. Greulich – nazwisko jego spotykamy we wzmiance z 9 marca 1824 roku dotyczącej napadu na dom byłego kata oraz z 1829 roku w związku z jego śmiercią. Wilhelm Heinrich Katalowski – pochodził z Ostritz, był ostatnim mirskim katem, zmarł w 1831 roku. Po jego śmierci obowiązki przejęła jego żona. Dom należny katowi

spłonął 11 sierpnia 1850 r., a w czasie powodzi w 1858 roku woda zmyła i zabrała przyległą ziemię. Nie pozostało po nich śladu. W latach 1692 – 1728 urząd kata był sprzedany katowi z Gryfowa.

Może jeszcze jako ciekawostki przedstawie niektóre z wyroków.

Na uwagę, szczególnie władarzy naszego miasta, powinien zasługiwać wyrok z 1502 roku, na mocy którego pewien mieszczanin musiał zapłacić 10 dukatów kary na to, że kłął na urząd magistratu. Z kolei naszych wędkarzy z koła PZW powinien zainteresować wyrok z 14 kwietnia 1663 roku. Tego dnia sieczono różgami szewca Melchiora Ressela, a następnie przepędzono go z miasta za to, że kradł ryby ze stawu Rady Miejskiej. Była to kara złagodzona, albowiem w 1614 roku za to samo ścięto dwóch kłusowników: 1 marca- Stephana Klose i 7 lipca Andreasa Stephan.

W 1760 roku, w czasie, gdy w okolicy obozowała armia cesarska, zdarzył się następujący wypadek. Felczer armii cesarskiej miał w Żytawie kochankę, z którą żył w cudzołóstwie, przedtem jednak zabił jej męża. Sprawa wyszła na jaw i w Mirsku został on osądzony, a następnie stracony przez ścięcie. Niebawem do Mirska przybyła i owa kobieta, została tu pochwycona, uwięziona i również skazana na karę śmierci. W związku z tym, że była w ciąży, egzekucję wstrzymano, a generał Beck wydał ją władzom miejskim. Te osadziły ją w miejscowym areszcie, gdzie przebywała przez 11 tygodni. W tym czasie zgłosił się jeden z huzarów kwaterujących w Giebułtowie, wyrażając chęć poślubienia jej. Władze się na to zgodziły. Ślub odbył się w kościele katolickim w Mirsku, a kobieta została zwolniona z aresztu.

Ostatni z opisanych tu epizodów dedykuję naszej Straży Miejskiej oraz osobom nadużywającym alkoholu. W nocy z 21 na 22 kwietnia 1911 roku strażnik zaaresztował robotnika G., będącego w stanie nietrzeźwym i zamknął go w dolnej celi więzy ratuszowej. Po czym o nim zapomniał. Więzień w celi przebywał przez kilka dni, nie dawano mu pożywienia ani wody. Po kilku dniach od uwięzienia znaleziono go w celi martwego. Od tego czasu więź ratuszową nazywano „wieżą głodową” („Hungerturm”). Zarząd miasta wydał też odpowiednie zarządzenie, aby w przyszłości podobna sytuacja się nie powtórzyła. Między innymi strażnicy miejscy mieli codziennie obowiązek sprawdzania cel więziennych i o ich stanie meldować oraz spisywać specjalną notatkę służbową.

Feliks Chojnacki

Bolko II świdnicko-jaworski, ostatni niezależny władca śląski

Chciałbym Państwu przybliżyć osobę księcia, który udzielnie i efektywnie władał regionem, do którego należy nasze miasto i jego okolice. Bolko II świdnicko-jaworski jest postacią niezwykle barwną i interesującą, zarówno z punktu widzenia historyka, jak i osoby zainteresowanej odległymi dziejami naszego regionu.

Działalność władcy na płaszczyźnie politycznej i gospodarczej, liczne nadania i fundacje na rzecz poszczególnych miast i instytucji dostarczają nam wielu interesujących informacji na temat początków i charakteru naszej miejscowości. Staram się uchwycić w tej publikacji szary wątek zmagania księcia na polu dyplomacji i organizacji państwa, nie tracąc jednak z oczu także innych aspektów rządów i życia władcy, tak słabo zachowanych i odzwierciedlonych w naszych źródłach.

Bolko II, książę świdnicki, zwany też w nielicznych źródłach Małym, urodził się około 1309 roku jako syn księcia Bernarda świdnickiego i Kunegundy, córki króla Władysława Łokietka. Przydomek władcy Świdnicy ma zapewne ścisły związek z jego niewielkim wzrostem. W chwili śmierci ojca w 1326 roku jego księstwo obejmowało zaledwie Świdnicę i okolice oraz okręgi sądowe, z których

później wykształtowały się powiaty wraz z miasteczkami: Strzegom, Bolków i Kamienna Góra. Początkowo znajdował się pod opieką stryjów: księcia Ziębic Bolka i Jawora Henryka oraz matki. Władztwo księcia w początkowym okresie jego rządów było skromne pod względem obszarowym.

W niedługim czasie księstwo powiększyło się o Kąty Wrocławskie i Sobótkę. Wiosną w 1345 książę Bolko II i jego stryj książę Henryk jaworski zawarli tzw. układ o przeżycie – w przypadku wcześniejszej śmierci każdy z nich zobowiązywał się przekazać drugiemu wszystkie swoje ziemie. Dodatkowo Bolko II zobowiązał się do opieki nad małoletnią córką Henryka oraz zabezpieczenia jej przyszłości w wypadku jego zgonu. Linię polityczną rządów od początku wyznaczało twarde stanie na straży niezależności względem potężnych sąsiadów, zwłaszcza zaś wobec króla czeskiego Jana Luksemburskiego. Do pierwszej poważnej próby sił między księciem świdnickim a królem czeskim doszło już w 1329 r. Po akcji militarnej i politycznej Jana Luksemburskiego hołdu lennego nie złożyła tylko najbliższa rodzina Bolka – jego stryjowie oraz szwagier Bolka – książę głogowski Przemko. Książę świdnicki nie czuł się wtedy jeszcze na siłach zbrojnie walczyć o zachowanie swojej pozycji, tak więc zdecydował się udać na dwór węgierski Karola Roberta, by tam bronić niepodległości swojego władztwa. Następnie w krótkim czasie nawiązał kontakty z królem polskim Władysławem Łokietkiem (swoim dziadkiem), by w sierpniu 1329 r. udać się do Włoch, do obozu Ludwika Bawarskiego. Częste podróże Bolka II oprócz chęci zabezpieczenia swojego księstwa przed zakusami Luksemburgów miały także i ukryte znaczenie: doprowadzenie do pokoju i zawarcia sojuszu skierowanego przeciw królowi czeskiemu pomiędzy Wittelsbachami a Władysławem Łokietkiem. Szeroko zakrojona akcja dyplomatyczna ostatecznie nie zabezpieczyła wystarczająco niezależności księstwa Bolka. W 1331 r. nastąpiła wyprawa Jana Luksemburskiego na Śląsk, co było częścią większej akcji władcy czeskiego zorganizowanej razem z zakonem krzyżackim

przeciwko Władysławowi Łokietkowi. O postawie Bolka w czasie tego konfliktu skądinąd nie wiemy nic, ale zadziwiają okoliczności spóźnienia się władcy czeskiego pod umówiony z Krzyżakami Kalisz. Otóż Jan został zmuszony do zaangażowania większości swoich sił do uspokojenia sytuacji na Śląsku, oblegając i zdobywając najpierw należący do dzierżaw Bolka gród w Niemczy, by udać się w końcu pod Głogów, gdzie pozbawił oprawy wdowiej (otrzymanej po śmierci księcia głogowskiego Przemka, która notabene nastąpiła nie bez podejrzenia otrucia z inspiracji Luksemburgów) siostrę Bolka Konstancję (do spadku po Przemku aspiracje swoje zgłosił także książę świdnicki, wobec jednak wcielenia Głogowa do Korony Czeskiej nie zostały one zaspokojone). W następnych latach Bolko II kontynuował politykę współpracy z królami polskim (Kazimierzem Wielkim) i węgierskim (Karolem Robertem, a od 1342 r. Ludwikiem). W 1338 r. w celu zwiększenia swojej międzynarodowej pozycji Bolko II zdecydował się na ślub z Agnieszką, pochodzącą z rywalizujących z Luksemburgami Habsburgów. Owocem ścisłej współpracy było zawarcie niezwykle korzystnego układu handlowego otwierającego drogę kupcom z księstwa świdnickiego na opanowywaną przez Kazimierza Ruś Halicką. 1 stycznia 1345 r. dzięki pośrednictwu Bolka został oficjalnie zawarty sojusz Wittelsbachów z Kazimierzem Wielkim i Ludwikiem Węgierskim. Powstały w ten sposób obóz antyluksemburski miał okazję sprawdzić się już wiosną tego samego roku, kiedy po uwiezieniu przez Kazimierza Wielkiego wracającego z Malborka Karola, syna Jana Luksemburskiego, ten ostatni zdecydował się skończyć wreszcie z niezależnością świdnickiego Piasta. Układu sojuszniczego dochowali wiernie królowie polski i węgierski, wkraczając w maju 1345 r. na Śląsk, co wobec konieczności podziału wojsk czeskich umożliwiło Bolkowi wytrzymać oblężenie wojsk czeskich w Świdnicy. Umowy nie dotrzymał za to cesarz Ludwik Wittelsbach, który szybko zawarł separatystyczny pokój. Wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem, bez większych sukcesów żadnej ze stron (na froncie świdnickim nie udało się uniknąć pewnych strat, jeszcze w 1345 r. Bolko utracił bowiem twierdzę w Kamiennej Górze, którą udało mu się odzyskać dopiero trzy lata później). Wkrótce wojna utknęła jednak w martwym punkcie,



Nagrobek księcia Bolka II w bazylice w Krzeszowie.

zwłaszcza wobec śmierci w 1346 r. Jana Luksemburskiego, a rok później Ludwika Witelsbacha (Jan przepojony ideałami rycerskimi zginął na wojnie angielsko-francuskiej w bitwie pod Crecy). Bolko II, pomimo wcześniejszego nie udzielenia mu pomocy przez Ludwika, zaangażował się wtedy w poparcie dla synów zmarłego cesarza nie mogących sobie poradzić z przejęciem Brandenburgii. 22 listopada w 1348 r. w Namysłowie doszło do zawarcia pokoju. Bolko II, z nieznanych powodów, w konferencji pokojowej nie uczestniczył, a jego interesy reprezentował tam Kazimierz



Herb księstwa świdnickiego.

Wielki. Do ostatecznego unormowania stosunków księcia świdnickiego z nowym cesarzem Niemiec i królem czeskim Karolem IV doszło jednak dopiero w wyniku arbitrażu Albrechta Habsburga 16 sierpnia 1350. Śmierć stryja Henryka, wiosną 1346 r., rządzącego księstwem jaworskim, spowodowała prawie dwukrotne powiększenie jego księstwa, które odtąd nazywano „świdnicko-jaworskim”. Księstwo to w niezmiennym kształcie terytorialnym funkcjonowało aż do lat 1818-1820, kiedy to powstały zupełnie nowe powiaty m.in. w Bolkowie i Świerzawie. Dopiero wtedy zatarły się jego administracyjne granice. Bolko II w trakcie swojego panowania dążył do powiększenia księstwa. Dzięki zabiegom i skutecznej dyplomacji w 1348 r. uzyskał od biskupa wrocławskiego zamek Jawornik, a w 1356 r. Złoty Stok z kopalnią złota oraz Srebrną Górę. Kilka lat później książę otrzymał połowę Oławy i Brzegu, Złotoryję wraz z okolicą, Byczynę i Kluczbork, a następnie w 1360 r. Grodków. Bolko II świdnicko-jaworski był bardzo zręcznym i sprytnym dyplomata i zarazem skutecznym politykiem. Szukał sprzymierzeńców i sojuszników na dworze króla Kazimierza Wielkiego, z którym był spokrewniony. W królu polskim Bolko II widział szansę na odzyskanie ziem śląskich, utraconych na rzecz Luksemburgów, a nawet inkorporację całego Śląska do Królestwa Polskiego. Były to plany bardzo ambitne i szczytne, ale niestety mało realistyczne w sytuacji międzynarodowej i geopolitycznej, w jakiej znajdowała się Polska w XIV w. Jednak energii, zapału i zaangażowania w politykę Śląska Bolkowi II nie można odmówić. Mimo wielu prób podporządkowania księstwa świdnicko-jaworskiego, podejmowanych przez królów Czech z dynastii Luksemburgów, Bolko II nie ugiął się i

nie złożył hołdu lennego Zygmuntovi oraz jego następcom. Po zawarciu pokoju w Namysłowie w 1348 r. dotychczasowa wybitnie antyluksemburska polityka Bolka II straciła rację bytu. Książę świdnicki rozpoczął więc proces ugody z Karolem IV, nie rezygnując przy tym z dobrych stosunków z Kazimierzem Wielkim i Ludwikiem Węgierskim. 13 grudnia 1350 r., nie mając męskiego potomka Bolko II zdecydował się wydać swoją bratanicę Annę (córkę Henryka II) za mąż za syna cesarza, zobowiązując się po swojej bezpotomnej śmierci przekazać całość swojego dziedzictwa

potomstwu młodych oblubieńców (z zachowaniem jednak dożywocia w formie oprawy wdowiej żonie Bolka Agnieszce Habsburżance). Umowa wobec rychłej śmierci syna Karola IV stała się jednak nieaktualna. Mimo to cesarz postanowił nie rezygnować z próby pokojowego zawładnięcia dziedzictwem bolkowym. Zapropozował siebie jako kandydata na małżonka Anny. Do zawarcia umowy ślubnej doszło na zjeździe monarchów w Wiedniu w 1353 r. i jeszcze tego samego roku Anna została koronowana na królową czeską i cesarzową rzymską. Nigdy



Portret Bolka II Malego.

jednak nie złożył czeskim królom hołdu lennego ze swojego księstwa, co świadczy o jego odwadze, determinacji, pewności siebie i harcie ducha. Mimo takiego obrotu spraw i sytuacji politycznej Bolko nadal dzierżył pełnię władzy i powiększał swoje księżęce posiadłości. Jednym z najważniejszych kroków w tej dziedzinie było przejęcie Dolnych Łużyc w 1364 r. drogą wykupu za sumę 9 tys. kóp groszy praskich od margrabiów miśnieńskich. Bolko II był jednym z potężniejszych i znaczących książąt śląskich, z którym liczyli się ówczesni monarchowie. Książę był sojusznikiem i poplecznikiem króla Kazimierza Wielkiego, stryjecznym teściem cesarskim i opiekunem dziedzica korony cesarskiej. Uczestniczył w wielu poważnych zjazdach monarszych. Niestety nie posiadał męskiego potomka- god-

nego następcy, któremu mógłby powierzyć swoje bogate i imponujące dziedzictwo. Stworzone przez niego państwo nie miało żadnych perspektyw i szans na suwerenność od korony czeskiej. Pomimo jego zabiegów i starań na dworze krakowskim król Kazimierz Wielki nie podjął żadnych kroków dyplomatycznych, aby utrzymać niezależność księstwa świdnicko-jaworskiego, które z takim zapałem, mozołem i uporem budował Bolko II. Wszystkie porozumienia, układy i zawierane traktaty konsekwentnie prowadziły do podporządkowania posiadanych przez niego terenów w bezpośrednie władanie królów Czech. 9 listopada 1368 roku umiera Bolko II, przeżywszy prawie 60 lat. Po jego śmierci w ręce królów czeskich przeszły Łużyce oraz części księstw ścinawskiego i głogowskiego, w księstwie świdnicko-jaworskim nadal rządziła wdowa po Bolku II- księżniczka Agnieszka. Po jej śmierci w 1392 r. księstwo formalnie i ostatecznie stało się częścią korony czeskiej, a władzę w Świdnicy i Jaworze objął czeski namiestnik Benesz z Chuśnik.

Bolko II został pochowany w kaplicy w krzeszowskim kościele cystersów. Fundatorką pięknej płyty nagrobnej była jego żona- księżniczka Agnieszka, która zatrudniła najwybitniejszych rzemieślni-

ków sprowadzonych prawdopodobnie z Pragi. Z zachowanej na nagrobku krzeszowskiej postaci księcia Bolka emanuje siła i energia, symbolizowana przez sposób trzymania w prawej ręce sztyletu, zaś w lewej ręce Książę trzyma tarczę z herbem księstwa świdnicko-jaworskiego z orłem czarno-czerwonym. Umieszczone pod stopami księcia zwierzęta symbolizują: pies- wierność, lew-

odwagę, siłę i waleczność. Głowa władcy spoczywa na poduszce uformowanej w kształcie tarczy herbowej z symbolami księstwa legnicko-brzeskiego. Na bokach płyty nagrobnej umieszczono postacie podtrzymujące osobę Bolkami, przedstawiające konkretne osoby z otoczenia księcia – rycerzy z rodów Schaffgotschów, Reibnitzów, Zeidlitzów i innych.

Gawęda domowego piwowara (cz. 1)

Brzuch nie jest od piwa, tylko na piwo

Sobótka, Legnica, Wrocław, Świebodzice, Prochowice, Ziębice, Radków, Boguszów, to miasta, w których jeszcze kilka, kilkanaście lat temu warzono piwa. Dolnośląskie piwa znane były w całej Polsce, piwo ze Świdnicy było eksportowane aż na Wyspy Brytyjskie. Niestety, to przeszłość, która już nie powróci.

To bardzo smutne, ale na Dolnym Śląsku, regionie o ogromnych tradycjach piwowarskich, nie działa już żaden browar przemysłowy. Jest jeszcze nadzieja, że browar w Lwówku Śląskim, najstarszy w Polsce, rozpocznie wreszcie produkcję.

Są tacy, którzy mówią, że dobrze, że tak się stało, że tamte piwa były okropne, że nareszcie mogą się napić dobrego piwa z Żywca lub Brzeska. Z nimi nie rozmawiam. Ja nie mogę zapomnieć czasów, kiedy gdziekolwiek w Polsce wchodziło się do małych sklepików i można było napić się Górala, Hutnika, Złotej 11, Bosmana, Ful-la, Marcowego, Specjale, Zdroju, Jantara, Ślęzę, Mnicha, Świętojańskiego. Klasztor-nego itd. itd. Niektóre pyszne, inne podłe, ale były inne. Teraz od Tatr do Helu, od Zgorzelca do Przemyśla ciągle to samo i to samo. Trzy te same butelki, o takim samym smaku. I ten zielony, dla wszystkich, czyli dla nikogo. Kiedyś z kolegami śpiewałem „nie ma jak wrocławski full”, to piwo było dumą Wrocławian i nie tylko. Teraz patrzę ze zgrozą, jak rozbierany jest Browar Pia-stowski. A „Piasta” robi Bosman w Szczecinie. Dobrze chociaż, że nie w Poznaniu. Wspaniały browar w Sobótce z kadziami fermentacyjnymi kutymi w skale niszczy się bezpowrotnie.

Szkoda tej dziedziny przemysłu, bo przecież w browarach pracowało po sto kilkadziesiąt osób. Kilka słodowni, z których pozostała tylko ta w Strzegomiu, to też miejsca pracy. Gdy ostatnio przejeżdżałem przez Lwówek Śl., aż mnie coś w środku zabolalo, gdy zobaczyłem pusty plac po słodowni. Jeszcze całkiem niedawno na Dolnym Śląsku spotykało się mnóstwo charakterystycznych i pięknych upraw chmielu. Dziś młodzi pytają mnie jak one wyglądały. Oczywiście dodać trzeba, że produkcja jęczmienia dla browarnictwa też dawała sporo pracy. Co robi teraz te kilka tysięcy osób, pracujących dla piwoszy?

Kilka lat temu znalazłem sposób na ten piwny marazm i zacząłem warzyć piwo w domu. Z kolegą, bo łatwiej było udźwignąć koszt. Za kilkaset złotych zakupiłem potrzebny sprzęt, pierwsze składniki piwa i rozpocząłem moją przygodę z piwowarstwem domowym. A że takich piwnych szaleńców jest dość dużo, nie jest to żadne ekstremum. Moda na warzenie piwa w domu rozpoczęła się w Australii, potem poprzez USA dotarła do Europy, gdzie najpopularniejsza była w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Do Polski trafiła pod koniec lat 90 ubiegłego wieku. Wtedy pojawiły się pierwsze sklepy, w których można było ku-

pić sprzęt i surowce. Dzisiaj kupno poprzez internet nie stanowi żadnego problemu, wystarczy wpisać w wyszukiwarce hasło piwowarstwo domowe. Szczątkową ofertę mają niektóre sklepy dla majsterkowiczów i ogrodników. Dziś amatorów piwa domowego jest w Polsce na tyle dużo, że utrzymują się trzy duże sklepy internetowe. Warzą ludzie ze wszystkich sfer, jednym z najbardziej znanych wrocławskich piwowarów jest kobieta.

Początki warzenia były dość trudne dla nas, facetów, którzy do tej pory gotowali tylko herbatę. Rozpoczynaliśmy o godzinie 15, a kończyliśmy o 3 w nocy. Wszystko było dla nas nowe, mimo wcześniejszego przygotowania teoretycznego. Ale warto było. Teraz w 5 godzin robimy 20 litrów pysznego piwa. Nie spotkałem od 9 lat osoby, której by to piwo nie smakowało. Przede wszystkim jest niepasteryzowane, z naturalnym dwutlenkiem węgla, warzone według prawa czystości, czyli z wody, słodu, chmielu i drożdży. I znów piję marcowe, portery, stouty, koźlaki, klasztorne, pszeniczne, wędzone itd. Piw przemysłowych już prawie w ogóle nie piję. Chyba, że jestem gdzieś „w Polsce” pijam piwa miejscowe, jeśli jeszcze są.

Na stronach internetowych poświęconych piwowarstwu domowemu, można znaleźć wszystkie potrzebne surowce i sprzęt, a także informacje jak ważyć piwo, a nawet przepisy piw. Wszystkim tym, którzy czują to samo co, ja proponuję to właśnie hobby.

Piotr Mally

Szambo – śmierzdzący problem

Posiadacze domów jednorodzinnych położonych zbyt daleko od linii kanalizacyjnej, borykają się z problemem przelewającego się szamba. Problem jest tym większy, im starszy jest dom. Dawniej, zużycie wody było dużo mniejsze, zatem i szamba, były mniejsze. Obecnie szacuje się, że trzyosobowa rodzina odprowadza do kanalizacji od 100 do 300 litrów ścieków dziennie.

Dlaczego chciałem napisać o tym „śmierzdzącym problemie”? Sam byłem ofiarą przelewającego się szamba, szamba, które było blisko domu, które „nawadniało” mi fundamenty. Jednorazowy koszt wywiezienia zawartości płynnej był ... powalający. Ci, którzy choć raz musieli zapłacić za wywóz szamba, doskonale wiedzą, o czym mówię. Obecnie jestem wpięty do sieci kanalizacyjnej i fundamenty mojego domu zaczynają schnąć. Jednak, tak jak pisałem na początku, nie każdy miał tyle szczęścia, co ja, gdyż mój dom był na trasie rozbudowywanej kanalizacji.

Obecnie na rynku funkcjonuje wiele firm oferujących przydomowe oczyszczal-

nie ścieków. Jakość tych oczyszczalni jest różna, tak samo jak ich cena. Średniej klasy zaczynają się od 5 tys, lepszej od 10 tys złotych. Wydatek niebagatelny. Od razu, z tego miejsca, chciałbym odradzić tak zwane oczyszczalnie z drenażem przesączającym. Dlaczego? Takie szambo składa się ze zbiornika o pojemności około 2,5 tys. litrów oraz rur odprowadzających ciecz do gruntu. Dla jednego mieszkańca domu wymagane jest co najmniej 10 metrów drenażu. Oczyszczalnia ta działa świetnie przez kilka lat, potem niestety, rury zabijają się i ... należy je zwyczajnie wykopać i wymienić. Koszt wymiany, to często połowa kosztów początkowej inwestycji. Dodatkowo, jeżeli drenaż

położono zbyt blisko studni (nie mniej niż 15 metrów), wówczas można zatruć sobie wodę.

Lepszym rozwiązaniem są oczyszczalnie z zamkniętym obiegiem, które odprowadzają prawie czystą wodę. Jednak, wymagają one pracy pomp i koszt ich eksploatacji to około 150-200 złotych rocznie, o ile nie wystąpią żadne usterki. W najgorszym wypadku, gdy awarii ulegnie pompa lub komputer sterujący, wówczas korzystanie z kanalizacji jest niemożliwe...

Jak dotąd same problemy, oczywiście podałem tu skrajne przypadki. Jednak o tych skrajnościach, często zapominamy, a w tej, jak w żadnej innej, w razie wpadki, budzimy się naprawdę „z ręką w nocniku”. Jest jednak sposób, który może pomóc posiadaczom szamb lub dla tych, którzy planują wykopanie nowego, większego szamba. Odpowiedzią jest wierzba energetyczna, o której pisałem kilka miesięcy temu. O tym jak ją wykorzystać napiszę w następnym odcinku.

Paweł Tomczuk

Oddzielne, ale razem

W ostatnim domu w Kolonii Kwieciszowickiej (w czasach niemieckich nazywano to miejsce Steinhäuser) mieszka obecnie emerytowany leśniczy - Pan Czesław Słotkowski. Ostatnimi niemiec-

kimi mieszkańcami tej posesji byli: celnik Paul Rädisch z żoną Klarą i ośmiorgiem dzieci. Ciekawe jest to, że granica dzieląca wówczas powiat lwówecki i jeleniogórski przebiegała dokładnie przez... środek rodzicielskiej sypialni! Mówiono



Kwieciszowice

wówczas, że Paul spał we Lwówku, a Klara w Jeleniej Górze... W pobliżu tego domu jeszcze dzisiaj można znaleźć dwa stare kamienie, które wyznaczają granicę pomiędzy tymi powiatami.

Erik Weijs

Kabelek Izerski

Rozgadani kierowcy

Kierowcy komunikacji międzymiastowej nagminnie rozmawiają przez telefon podczas jazdy. Jaki procent wypadków na świecie spowodowany jest przez używających telefonu kierowców? Wielu pasażerów z duszą na ramieniu patrzy na rozgadane go podczas jazdy kierowcę. Wystarczyłoby osprzęt do telefonu, dlatego Kabelek apeluje do przewoźników o jego zakup. Starsi pasażerowie pamiętają czasy, kiedy kierowca autobusu w czasie jazdy przyjmował pieniądze, wydawał resztę i kasował bilety, a jeżeli pasażer był z tego powodu niezadowolony, to też mógł być skasowany. Ach ci kierowcy, im wiatr zawsze w oczy wieje...

Wiwat drogowcy!

Późnym latem na terenie gminy Mirsk pojawili się „drogowcy”, połatali szybko i sprawnie powstałe od zimy dziury. Jest to prawdopodobnie sygnał, że drogi połatane jeszcze długo nie będą miały nowej nawierzchni. W poprzednich latach zdarzały się pozimowe naprawy dróg w listopadzie. To znaczy, że jest lepiej, chociaż niektórzy mówią, że lepiej już było i nie wróci.

Wewnętrzny hamulec

Coraz więcej drzew zostaje wyciętych przy drogach. Dzieje się tak z powodu konieczności podniesienia bezpieczeństwa jazdy. Do tego dochodzi zagrożenie spowodowane przez konary starzejących się drzew - głównie topoli. Kabelek uważa, że każdy kierowca powinien mieć w swojej głowie hamulec bezpieczeństwa. Gorzej może być z tymi, którzy jadą bez zahamowań. Wyżej wymienione „udogodnienia” mogą zachęcić ich do jeszcze

szybszej jazdy. Życzymy sobie wszyscy, aby takich na swojej drodze nie spotkać.



Dziurzasty chodnik

Kabelek z uporem maniaka wraca na chodnik przy ul. Zdrojowej w Mirsku, na którym przybywa dziur i wybrzuszeń. Zamienia się powoli w tor ćwiczebny dla pojazdów terenowych. To dobra wiadomość dla ich posiadaczy. Ale czy w przyszłym roku będzie go można pokonać wózkami dziecięcymi, inwalidzkim lub przy pomocy balkonika? Jeżeli z taką determinacją Pan Burmistrz będzie kierował środki na inne cele, to na pewno nie.

Miś nie czekał

Kabelek zajrzał do miejskiej fontanny. I co tam zobaczył? Ano naszego pocziwego misia, którego losem nikt się nie interesuje. Leży tam sobie biedaczysko, goły, zziębnięty i zapomniany. Chociaż nie do końca tak jest, jednak ktoś się nad nim ulitował i chcąc mu choć trochę umilić pobyt w tym przykrym miejscu, postawił na cokole kwiatek. Cóż, teraz przed zimą mamy dwa problemy: kwiatka i misia. Ale kwiatki...

Urzędowa fiesta

Podobno w tym sezonie zabawowym wszystkie ważniejsze terminy, w których różne organizacje i stowarzyszenia mogły do niedawna organizować imprezy dochodowe z przeznaczeniem na cele społeczne, zarezerwował mirski urząd. Kabelek ostro dementuje szerzące się pogłoski, jakoby działania te miały jakikolwiek związek z przyszłorocznymi wyborami. Takim plotkom mówimy stanowcze „nie”!



fot. Kabelek Izerski

Osoba niepełnosprawna usiłująca przejść chodnikiem przy ul. Zdrojowej.



Miś i kwiatek w mirskiej fontannie.

Redaktor naczelny

Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy

Bartosz Baszak, Marta Bielak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciw, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Erik Weijs, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie

Kuba Krasicki

Kontakt

tel. 0 882 672 386

e-mail: redakcja.izery@gmail.com

Adres redakcji

59-630 Mirsk

ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

Oferta ogłoszeniowa

Zapraszamy do zamieszczania ogłoszeń na stronach czasopisma Izery

Ceny ogłoszenia za stronę kolorową formatu A4 kształtują się w granicach 100-120 zł, za taką samą wielkość w odcieniu szarości - 80 zł. Istnieje oczywiście możliwość zamówienia 1/2, 1/4, czy 1/8 strony. W sprawach dotyczących ogłoszeń prosimy dzwonić pod nr **0691820861** lub **0757834001**.

Szczegółowe informacje, pomoc i poradę techniczną dotyczącą tych spraw można uzyskać u Feliksa Chojnackiego w firmie „Fenix” przy ul. Kpt. St. Betleja 18 w Mirsku.

CERAMIN



ZAPRASZAMY DO NOWEGO PUNKTU

W SPRZEDAŻY

- INSTALACJE CO I CWU
- INSTALACJE ELEKTRYCZNE
- KANALIZACJA
- POKRYCIA DACHOWE
- DRZWI I OKNA
- PANELE PODŁOGOWE
- FARBY
- NARZĘDZIA

CENY KONKURENCYJNE

Zapraszamy do współpracy wykonawców

NEO

USŁUGI BUDOWLANE
DANIEL WÓJCIK

SPRZEDAŻ

MONTAŻ

SERWIS

OKNA i DRZWI

506 217 594

Poniedziałek - piątek

7.00 - 17.00

Sobota

7.00 - 13.00

PHU CERAMIN Dariusz Karnicki

Aleja Wojska Polskiego 41A

59-630 Mirsk

075 78 97 016